
RELACJE Z ZESŁANIA

By czas nie zatarł śladów naszych doświadczeń syberyjskich od wieków najdawniejszych aż po okres drugiej wojny światowej oraz w pierwszych latach po jej zakończeniu, a pamięć o tym trwała, redakcja „Zesłańca” postanowiła utworzyć nowy dział poświęcony tej problematyce. Spełniamy tym samym prośby wielu Czytelników, którzy przysyłają propozycje dotyczące publikowania swoich zesłańczych wspomnień, powołując się na zeszyt „Zesłańca” poświęcony Matkom-Sybiraczkom, który spotkał się z wielkim zainteresowaniem.

W przyszłości podobny monograficzny numer naszego pisma chcemy przeznaczyć na opisanie losów polskich dzieci na zesłaniu. Wiemy też z napływającej do redakcji korespondencji, że z artykułów publikowanych na łamach „Zesłańca” korzystają uczniowie oraz nauczyciele historii, uważając publikowane w nim teksty za ważny materiał uzupełniający podręczniki szkolne.

Dział „Relacje z zesłania”, nawiązuje w pewnym sensie do serii „Biblioteka Zesłańca”, ukazującej się w Polskim Towarzystwie Ludoznawczym oraz do serii pod nazwą „Wspomnienia Sybiraków”, wydawanej w poprzednich latach przez Komisję Historyczną Zarządu Głównego Związku Sybiraków pod red. nieodżałowanej pamięci Janusza Przewłockiego, pomysłodawcy tego działu w naszym piśmie. Zesłańcze wspomnienia wydawane są także w poczytnej serii „Tak było... Sybiracy”, realizowanej przez Oddział Związku Sybiraków w Krakowie, pod red. Aleksandry Szemioth, przewodniczącej tamtejszej Komisji Historycznej. Mamy nadzieję, że przez taki zabieg edytorski wzbogacimy polską historiografię o cenne źródła dotyczące zesłań Polaków na Syberię, do Kazachstanu, na Daleki Wschód i w inne rejony byłego Związku Radzieckiego. (red.)

*

Edward Kuczyński – *Wspomnienia łagiernika*

Autor relacji był żołnierzem Armii Krajowej. 1 listopada 1944 roku został aresztowany w Białymstoku, gdzie w tamtejszej siedzibie NKWD przy ul. Ogrodowej poddany był uciążliwemu śledztwu. Skazany został na 10 lat łagrów. Z Białegostoku przewiezony został do więzienia w Grodnie, potem do Orszy i Witebska. Następnie wysłany został do obozu w rejonie Krasnojarska, gdzie w okolicy stacji kolejowej Renota pracował przy budowie kolei. Tam uległ wypadkowi i po wyleczeniu ran przewiezony został do obozu nr 4 w okolicach Karagandy (Kazachstan). Pracował tam przy budowie kopalni oraz w zakładach przeróbki węgla, następnie zaś jako górnik. W roku 1954 został uwolniony i powrócił do Białegostoku.

*

Zostałem zaliczony do ludzi całkowicie wycieńczonych, nie nadających się do żadnej pracy. Nazwa choroby „dystrofia”, tj. skazany na powolne konanie. Ale rogata polska dusza nie chciała wyjść z ciała. Wywieziony zostałem do

obożu nr 2, rolniczo-gospodarczego, który zaopatrywał wszystkie mniejsze obozy pracy w żywność. Był tu także centralny szpital dla ciężko chorych, do którego przywożono ludzi z mniejszych obozów. Kilkadziesiąt brygad musiało obrobić wszystkie pola i przygotować wyżywienie dla wszystkich obozów. W baraku mieszkało około 200 ludzi. Na narach do spania, jedzenia i odpoczynku mieściły się 4 osoby. Dla chorych były łóżka. W baraku dla inwalidów były poczwórne nary.

Ludzi było bardzo dużo, w przybliżeniu około pięciu tysięcy, różnych narodowości. Zostali przywiezieni z całej Azji i z połowy Europy, a nawet byli Niemcy, Francuzi, Anglicy, wszyscy nie wojskowi. Większość była w takim samym stanie jak ja, całkowicie wycieńczeni. Wszyscy podzieleni na brygady. Od czasu do czasu prowadzono na roboty, które jeszcze mogliśmy wykonywać i gdzie można było coś ukraść do jedzenia. Organizm przed sobą nie widział nic, wołał tylko jeść. Przed drzwiami kuchni stałem po 3-4 godziny, może zaangażują na noc do czyszczenia ziemniaków lub jakiegokolwiek innej roboty. Pracowało się w kuchni po 4-5 godzin, dostawało się za to kilka czerpaków półlitrowych albo 70-gramowych lepszej zupy. Zrobiłem sobie czterolitrowy kociołek z puszek konserwowych, które od czasu do czasu można było znaleźć na śmieciach oraz drewnianą łyżkę. Byłem już bogaty. Tylko że trzeba było dzień i noc mocnym sznurkiem albo drutem mieć to przywiązane do boku, gdyż mała nieuwaga i kociołka nie widać, zdarzały się i takie przykrości. Miałem też w zapasie z desek zrobione korytka. Na takie korytka nie było amatorów, prawie wszyscy je mieli. Gorzej, gdy ktoś nie miał nawet korytka, wtedy brało się zupeę w czapkę i wypijało po odejściu od okienka.

Po pewnym czasie straciłem tę nocną pracę w kuchni. Znowu chodziłem głodny. Kręciłem się jednak przy tej kuchni. Miałem trochę szczęścia i zaparcia. Dowiedziałem się, że zmienia się główny kucharz. Było to prawdą, był nawet Polakiem, tylko że z czwartego czy piątego pokolenia, nie umiał całkowicie mówić po polsku, nie pamiętał żadnych powiązań z Macierzą. Przyjął mnie do pracy w kuchni na porządkowego. Podłoga w kuchni musi być biała. Trzeba ją było skrobać nożem, za to byłem najedzony. Poznałem kilku innych Polaków, przybliżyła nas kuchnia. Do tej pory w tym obozie nie znałem żadnego Polaka. Brygady były składane z ludzi różnej narodowości. Rzadko kiedy składały się z dwóch czy trzech Polaków, dopiero w Kazachstanie było inaczej. Spanie miałem tuż przy kuchni. Do brygady chodziłem tylko po pajkę chleba. Zupę brali inni z brygady. Brygadzista każdej brygady dostawał zawsze podwójną porcję zupy, ale byli to przeważnie Rosjanie. Trwało to do wiosny 1946 roku. Doszedłem prawie do normalnego zdrowia. Mogłem nawet próbować biegać.

Kończy się sielanka w kuchni. Zbierają brygady, dają łopaty i gonią do kopania pól. Miejscami leży jeszcze śnieg. Bardzo wyczerpująca to była praca. 10 godzin dziennie z 15-minutową przerwą do połknięcia gorącej zupy. Do łopaty klei się urodzajna ziemia, za plecami ciągle pogania nadzieratiel, tak że nie można prawie wyprostować pleców. Nie ma żadnych pługów lub maszyn, ani nawet koni. Przed nami setki hektarów ziemi urodzajnej, a w ziemi dużo ziemniaków z ubiegłego roku, całkowicie zmarzniętych. Ludzie przemęczeni, ledwo ciągaliby ręce i nogi. Podtrzymywało tylko to, że każdy miał woreczek i kociołek i pracując przez cały dzień nawykopywał sobie zmarzniętych ziemniaków, które zezwolono nam brać. Do północy piekliśmy więc lepieszki na płytach stalo-

wych palącego się glinianego pieca. I tu była prawdziwa solidarność czy nabrał mniej czy więcej tych flaków, po upieczeniu brygadziosta rozdawał wszystkim jednakową porcję, nie zważając na różnice narodowościowe. Lepioszki ziemniaczane były bardzo smaczne, choć były bez soli, bez jakiegokolwiek tłuszczu i przypalone; myśląc o domu nie przypominam sobie, aby były takie rarytasy, nie tak nie smakowało.

Na różnych pracach gospodarczych pomału przechodzi lato 1946 roku. Zbliża się jesień. Przyroda wie, że trzeba się spieszyć. Wszystko rośnie, kwitnie i dojrzewa z dnia na dzień. Kwitnie bardzo dużo ładnych dzikich kwiatów, aż serce odżywa, gdy się patrzy na tę przyrodę, tylko że wszystkie kwiaty i rośliny nie miały żadnego zapachu. W Polsce skoszona trawa rozsiewa aromat na kilometry, tam na Syberii jest martwa, choć dorodna. Zima przychodzi bardzo szybko, z początkiem października w dwóch tygodniach musi być z pola wszystko zebrane. Co się nie zdąży zdjąć z pola w tym czasie, pozostaje w ziemi do wiosny. Urodzaj nadzwyczajny, bez żadnej pielęgnacji czy nawozu. Jeden ziemniak wrzucony do ziemi czy pod darninę lub wiklinę, na wiosnę daje pełne, dwunastolitrowe wiadro doborowych kartofli. Pastewny biały burak rośnie do olbrzymich rozmiarów Brak tylko porządku z niedbalstwa. Zboża zebrane składowano w przyzmach i przy torach kolejowych, ziemniaki na zimę zostawiano na polu, nakryte łętami itd., itd.

Okolo czterech kilometrów od naszego obozu był podobny obóz żeński. Niekiedy trzeba było pomagać kobietom w polu i w innych ciężkich pracach. Tylko to było urządzone tak, że mężczyźni nie widzieli kobiet, a kobiety mężczyzn nawet przez lornetkę. Szpital żeński mieścił się obok szpitala centralnego, ogrodzony 4-metrowym płotem z drutem kolczastym. Naczelnicy obozów zorganizowali odwiedziny czterech najlepszych brygad żeńskich w obozie męskim i po tygodniu odwrotnie. Na zebraniach były przemowy naczelników o dobrej pracy i lepszej przyszłości. Przygotowano tym wybranym brygadam lepszy obiad, a po obiedzie był czas na tańce przy harmonosce. Tymczasem zanim przyszła pora obiadu, to w pomieszczeniu pozostało ¼ żeńskich brygad i tylko starsze kobiety. Reszta uciekła z mężczyznami. Konwojenci do rana następnego dnia zbierali dziewczęta po barakach i po całym obozie. Wygląd tych dziewcząt był nie do opisania. Były to zwierzęta-samice. Gorzej było w tydzień później, kiedy to mężczyźni poszli w odwiedziny do obozu żeńskiego. Z powrotem przyszło 2/3, resztę przywieziono do polowego szpitala. Na odwiedziny chodzili tylko uprzywilejowani ludzie „błatnyje” (kryminalni).

Niedaleko był obóz – kamieniołomy. Przywozili do nas skałę na budowę kolei. Były tam wielkie przestrzenie skał i rósł tylko mech. Do obozu przyjechała znów komisja kontrolna – kupcy żywego towaru – i wybierano ludzi do pracy w innych obozach. Trafiłem do obozu nr 11, który budował tory kolejowe i duży tartak. W tym obozie spotkałem się z Japończykami. Było ich około dwudziestu, a może więcej, ale nie w jednej brygadzie. Przydzieleni byli do różnych robót. Byli młodzi, po 20-30 lat. Wszyscy byli skazani za to, że są Japończykami. Byli bardzo przyjaźni. Wiele razy doznałem od nich dużej przychylności.

Byłem w brygadzie przy budowaniu torów kolejowych. Teren bagnisty, komarów miliardy. Bez specjalnego okrycia od komarów nie ma mowy o wyjściu na bagna. Za godzinę człowiek oślepnie, a uszy i twarz będą wyglądać jak jedna okrągła bania. Dano nam specjalne tzw. nakomarniki i siatkę na twarz. Zawiazywało się je na szyi tak, żeby żaden owad nie dobrał się do ciała ludzkie-

go. Na rękach rękawice zawiązywane sznurkiem. Przywozili obiad, to jest pół litra zupy. Zanim człowiekowi nalali do kociołka zupy, to już mięso z komarów było darmowe, tyle tego już wlało. A nim wypił gorącą zupę, to już miał pogryzioną brodę, usta i nos.

Woziliśmy wagonami kamienie, piasek, drzewo do miejsca zsypu, dalej taczkami tam, gdzie układano tory. Doszliśmy do takiego miejsca, w którym wszystko tonęło. Walono tam całe ścięte drzewa, przywożono z kamieniołomów ogromne głazy. Po zasypaniu i ułożeniu torów, za tydzień mazia z bagna wylała znowu na wierzch. Po pół roku takiej pracy zachorowałem na malarię. Straszna choroba. Objawy są takie, że człowiekowi robi się bardzo zimno i tak nim trzęsie, że zdaje się, że jakby cały budynek jeździł. Żadne nakrycia nie pomagają. Potrzeb-sie przez pewien czas, a potem robi się człowiekowi bardzo gorąco. Odczuwa się ogromny wstręt do jedzenia czegokolwiek. Gdy wnoszą do sali obiad czy śniadanie, człowiek automatycznie nakrywa się z głową tak, żeby tego nie widzieć. Potrzebnych leków nie było. Człowiek skazany jest na śmierć. W tym polowym szpitalu pracował lekarz, Litwin pochodzenia polskiego, z wyrokiem 10 lat. Po zbadaniu powiedział, że jeżeli nie dostanie chininy, to nie przeżyje dłużej jak miesiąc. Nie jadłem nic, piłem tylko mleko. Oddawałem całe jedzenie za 100 gramów mleka. Ginałem w oczach. Lekarz przechodził sam siebie. Dbał o chorych jak matka o dzieci. Miał podobnych sobie dwóch pomocników. Gdy ktoś nie mógł jeść czy chował się z głową pod koc, to pomocnicy trzymali chorego a on pakował mu do ust, co miał najlepszego. Na Litwę dochodziły listy. Otrzymywał też listy do domu. Wszystko tylko za pozwoleniem naczelnika obozu. Dobijał się u naczelnika o leki, choć wiedział, że nie dostanie. Za to dostał pozwolenie na sprowadzenie od rodziny z Litwy chininy. Tym mnie podtrzymał na duchu i nadziei. Sam robił różne leki z ziół i korzeni. Na przykład leczył mnie i utrzymywał przy życiu zielem, tzw. czeremszą. My to nazywaliśmy dzikim czosnkiem. Jest to ziele podobne do naszej konwalii i o identycznym jak czosnek zapachu korzenia. Ratował tym dużo ludzi. Oddawaliśmy całodzienną pawkę chleba za pęczek tego ziele. Za pośrednictwem lekarza i jego rodziny na Litwie moi rodzice otrzymali jeden list ode mnie. Od rodziców także dostałem w obozie jeden jedyny list napisany po rosyjsku przez żołnierza sowieckiego, który nocował u rodziców w Białymstoku.

Przeszedł miesiąc i połowa drugiego, byłem całkowicie wycieńczony, ważyłem 36 kg. Kości widać było przez skórę. Już leki zielarskie nie skutkowały. Wstawać z łóżka nie mogłem. Traciłem świadomość i wtedy wydawało mi się, że łączyły po mnie małe ludki z widłami, wielkości pudełka zapalek i mocno kłuły, a było ich miliardy. Lekarz siedział przy mnie całymi dniami i pocieszał mnie, że jednak chinina przyjdzie i przyszła. Wtedy on zwariował z radości a ja dostałem pigułkę. Po pięciu dniach kazał mi wstać z pryczy. Po dziesięciu zostałem wypisany ze szpitala. Wałęsałem się po obozie. Do kuchni nie mogłem się dostać a jeść chciało się w dwójnasób. Spuchłem z głodu, za dużo piłem wody. Zaszedłem znowu do tego lekarza. Nic na to nie może pomóc, taką samą pawkę chleba dostaje jak ja. Kazał mi nie pić w ogóle płynów i zamieniać z chętnymi na kawałek chleba lub na główkę ryby. Już chciałem żyć, przyjąłem jego radę. Nie piłem w ogóle wody ani zupy, oddawałem wszystko za chleb i solone główki ryby. To poskutkowało. Lekarz widząc poprawę, starał się wysłać mnie znowu do obozu nr 2, gospodarczego, gdzie już raz byłem. Tymczasem w okresie, kiedy ja łączyłem po obozie, druga brygada wschodnich ludzi, tj. Chińczy-

ków, Koreańczyków, Kirgizów itd. – 20-30 ludzi – pracowała przy budowie tartaku w obozie nr 11, gdzie ja budowałem tory. Z głodu zbierali różne zioła i korzenie, gotowali to i jedli. Aż trafili na nieznane rośliny, a może za dużo się najedli, jednym słowem 32 Chińczyków zmarło, został tylko brygadzysta Rosjanin, który nie chciał tego jeść, miał szczęście.

Z Chińczykami były także i inne wypadki. Dwóch z nich złapało węża, podzielili się nim po połowie i jedli prawie na żywca. Jednego z nich ukąsił jadowy wąż. Chińczyk w oczach puchł i czerniał. Jednak lekarz – Gruzin – uratował mu życie. Tacy byli Chińczycy, nie mogli wytrzymać z głodu, zbierali i jedli wszystko, nawet robaki drzewne, było tego bardzo dużo w lesie. Zbierali je w kociołki, gotowali i jedli.

Kirgizi – naród zupełnie inny, może dlatego, że dostawali paczki z domu, dzielili się nawet ze mną kielbasą robioną z żeber wielbłądzich. Ciekawy to był wyrób: całe żebro wpakowane w kiszkę i potrzymane w pewnej temperaturze jest zupełnie miękkie i całkowicie nadaje się do jedzenia. Próbowałem nawet ich osławionego kumysu. Mocno byli przywiązani do swoich tradycji. Raz w swoje święto wszyscy Kirgizi mieli przypasane do boku drewniane szable i cały dzień paradowali po obozie.

Jesienią 1947 roku zawieźli mnie, i takich jak ja słabych, do obozu gospodarczego nr 2. Znajomego naczelnika kuchni już nie było w tym obozie. Staralem się pracować wszędzie, gdzie tylko można było skombinować więcej jedzenia. Byłem w brygadzie, która zbierała z pól warzywa, jęczmień i groch. Nie wolno było jeść te surowe warzywa, ani gotować je na polu oraz zabierać do obozu. Pomimo srogich kar przy złamaniu powyższych zakazów oraz strachu przed rewizją przy wchodzeniu do obozu – mieliśmy jednak prowianty na ugotowanie sobie sytej kolacji i po kolacji. Tak, że układając się do snu nie byliśmy głodni.

Szybko dochodziłem do siebie i nabrałem takiego wyglądu, że z początkiem roku 1948 zostałem znowu wysłany do obozu nr 11, do pracy przy drewnie w ogromnych magazynach otoczonych dookoła kolczastym drutem. Na wyżkach stali uzbrojeni bojcy, ochrona. Znowu brakowało jedzenia, zaczął dokucać nieznośny głód. W tej brygadzie zżyłem się z jednym Polakiem, byliśmy nierozłączni. Zrodziła się chęć ucieczki w świat, mimo, że wszystkim było tłumaczone, iż pod karą śmierci zabroniona jest najmniejsza chęć ucieczki. Przy wychodzeniu z obozu przed odmarszem albo przed odmarszem z pracy do obozu, bojec głośno mówił swoją modlitwę: „szag w prawo, szag w lewo, bojec strielajet bez predupieżdzenia” (krok w prawo, krok w lewo, a żołnierz strzela bez uprzedzenia). Nie zastraszyła ta przestroga dwóch młodych Polaków.

Przy drodze z obozu do tartaku i składu drewna było ogromne pole ziemniaków, już zaczęły kwitnąć. Było to w środku czerwca. Powinny już być bulwy, okazja by nie być głodnym w drodze. Umawiamy się z kolegą, że po zjedzeniu obiadu ja pierwszy wyłażę czołgając się w wysokiej trawie pod drutami i maszeruję do kartofli. Po drodze zbieram dużo grzybów i czerwieniejących się porzeczek. Jem to wszystko na surowo nie dbając o to, że mogę się otruć. Z dala widzę już pole kwitnących ziemniaków. Mam nakopać ręcznie dwie torby i czekać na kolegę w lesie, w pobliżu pola. Nie doszedłem do pola, słyszę dwa wystrzały karabinowe. Znak, że uciekł więzień. Mojego kolegi nie ma. Zatrzy-

małem się, usiadłem za krzakiem i czekam na niego. Powinien już być. Po kilku minutach drugie dwa wystrzały, potem z innej strony znowu dwa. Doszedłem do wniosku, że mojemu koledze nie udało się manewr ucieczki z tartaku. Przyszła mi do głowy myśl, żeby wracać do składu. Samemu w takiej drodze nie ma żadnych szans na pomyślność. W pośpiechu maszeruję z powrotem do tartaku, boję się zabłądzić. Po drodze mały strumyk, ledwo przez niego przekaraskałem się. Z daleka z lasu widzę wyżkę i bojca, ale po drodze jeszcze trafiłem na krzak porzeczek. Obrałem do czysta, mam pełne kieszenie. Teraz trzeba przedostać się pod kolczastym drutem na teren tartaku. Jeżeli zobaczy bojec, to jestem zabity. Udaje się i ta sztuka, jakby pod opieką Bożą, już jestem w stertach desek. Na placu tartaku całkowita cisza, nic się nie dzieje. Oczyszciliem trochę z błota ubranie i idę do miejsca pracy brygady. Widzę całą brygadę, siedzi w kupie na ziemi, jest i mój kolega. Dwóch bojców stoi ze skierowanymi w ludzi automatami. Zobaczyli mnie. Nikt nie pisze słowa. Bojec kieruje we mnie broń i każe siadać z daleka od brygady i nie pisać ani słowa. Woła dwóch idących oficerów z psem, dużym wilczurem. Wskazując na mnie mówi, że przyszedł uciekinier. Podchodzą do mnie, legitymują i pytają, gdzie byłem. Nie wiedziałem co mówić, ale kłamię, że zasnąłem w stertach desek. Jeden z pytających wyciąga pistolet i mówi, że jak nie powiem prawdy i nie pokażę, którądy uciekałem, to zaraz mnie zastrzeli i pokazuje na ubranie całe w błocie i pełną kieszeń porzeczek. Pokazałem, którądy wylałem pod płótnem drucianym i powiedziałem, że chodziłem na porzeczkę. Zapytał o moją narodowość, powiedziałem Polak. Zaprowadził mnie do brygady i przy nich mówi, że mnie zastrzeli i kieruje pistolet w głowę. Ale trzasnął tylko pistoletem w policzek, że upadłem na ziemię i mówi: „żeby nie Polak, to by był zabity”, ale puścił na mnie psa a on robił ze mną co chciał. Nie było kawałka ubrania całego, wszystko w strzępy, ale nie ugryzł ani razu. Do obozu szedłem pięć metrów za brygadą. Dostałem za to jeden dzień karceru, 30 dkg chleba i pół litra zupy na cały dzień i w ogóle nie wypuszczano mnie poza obóz. Za karę musiałem palić duże ognisko w nocy dla oświetlenia obozu, gdyż nie było światła elektrycznego. Za tę pracę otrzymałem lepsze odżywianie. Takich ognisk palono cztery, przy zadrutowanym czterometrowym płocie pomiędzy wyżkami ochrony, bojców. Nas palących takie ogniska było czterech, w dzień musieliśmy przygotować na ogniska drzewo, które w nocy było spalane. Do kuchni każdego dnia prowadził dyżurny żołnierz i osobiście pilnował, żeby nas czterech dobrze karmili.

Niedługo trwała dobra karmioszka. Po miesiącu w nocy padał ogromny deszcz, a od ogniska odejść nie wolno. Bez przerwy trzeba było pilnować ogniska żeby nie zgasty. Soldaty darli się bez przerwy, że źle się pali. Nad ranem przestało padać, ja byłem cały mokry i całkowicie wykończony. Położyłem się koło ogniska i natychmiast zasnąłem. Nie zbudziły mnie nawet krzyki z wyżki, że zgasł ogień. Zbudził mnie żołdat, gdy prowadzili nas do kuchni. Było już ze mną źle, zachorowałem na zapalenie płuc. Znowu półtora miesiąca w polowym szpitalu. Po wyjściu ze szpitala przeprowadzono nas do obozu nr 7, do brygady drwali. Na współnika dano mi Rumuna, był zdrowszy ode mnie i silniejszy, umiał już piłować las. Było mi z nim dobrze, pokumaliśmy się od razu.

Była druga połowa 1948 roku. Z drwałami obchodzono się dużo lepiej. Dano nam nowe letnie ubrania, koszule, buty sznurowane i onuce. Oddzielne pomieszczenie dla każdej brygady, pojedyncze żelazne łóżka, poduszkę i mate-

rac wypchany słomą oraz –o dziwo – kołdry watowe. Nikt nie wierzył swoim oczom. Brygadzystą był dość energiczny Rosjanin, wyrok z artykułu 58, 25 lat robót. Osiem lat już odpracował. O sobie nic nie mówił. Przy podziale lasu do wyrębu otrzymywał zawsze najlepszą działkę dla naszej brygady. Robota była ciężka, ale uważano nas za solidnych ludzi i osobiście lżej znosiło się przygnębienie. Były nawet premie, kto więcej zwałił drzewa i oczyścił je z gałęzi, otrzymywał więcej chleba, zupy i na drugie danie kaszy, albo zapiekanek z ziemniaków, a nieraz głowę dorsza albo naparstek oleju.

Nadchodzi zima 1948 roku. Otrzymaliśmy ciepłe ubrania, tj. watowe spodnie i marynarkę oraz watowane półpalto i wołoki bite, bardzo ciepłe i twarde. Otrzymaliśmy japońskie ciepłe czapki i rękawice ze specjalnych materiałów. W takim ubraniu nie straszna była zima z mrozem dochodzącym do 42 stopni poniżej zera. Zima zapowiadała się bardzo ostra. Z początkiem października nadzwyczajna pogoda, silne wiatry, błyskawice i grzmoty, potem zawieje śnieżne, nie widać przez dwa tygodnie świata. Do pracy nie chodzimy. Do kuchni z baraków chodzono trzymając się liny specjalnie do tego założonej. Baraki były całe zasypane śniegiem. Po dwóch tygodniach burza ucichła tylko mróz trzeszczał tak, że wypluta ślina zamarała nie dolatując do śniegu. Czterometrowej wysokości ogrodzenie całkowicie zasypało, nie było w ogóle widać obozu. Rzucono wszystkim, bez wyjątku – kto tylko mógł chodzić – do odśnieżania.

Na drugi dzień pognano nas do roboty w lesie. Przed nami ocean śniegu, nic nie widać tylko biel, aż oczy boją. Prowadzi z przodu bojec, który musi znać dokładnie drogę, gdyż zboczenie o metr w jedną albo w drugą stronę powoduje zapadanie się po szyję w śnieg. My rzędem, stopa w stopę, idziemy za nim. Przed pierwszym bojcem około 50 metrów jadą sybirskie sanie, ciągnięte przez sybirskiego małego konika. Teraz tylko on jeden zna drogę, on się nie pomyli, tylko on jeden jest nieomylny. W lesie najpierw trzeba oczyścić dostęp naokoło drzew i tak codziennie.

Jednego razu w niedalekiej odległości od naszego miejsca pracy skacze po śniegu ogromny baran. Zobaczył go nasz mierniczy. Z brygadzystą poszli do bojca z propozycją, żeby go zastrzelił, za to we dwu otrzymają część baraniny. Nie zgodził się na to, ale dał mierniczemu karabin i pozwolił zastrzelić, ale tylko za jednym strzałem, gdyż wystrzał drugi będzie oznaczał sygnał alarmu w obozie. Baran poskakał dalej. Około 30 metrów za nim maszeruje po pas w śniegu mierniczy. W niedługim czasie strzał i tylko jeden. Niebawem – jeden raz w czasie pobytu w obozach ZSRR dostaliśmy wszyscy z brygady po kawałku baraniny, a drugą połowę brali sobie dwaj bojcy. Po kilku dniach w brygadzie rozeszła się wiadomość, że ten baran nie był dziki. Przez całą zimę w naszym pomieszczeniu żyła wiewiórka. Z nikim nie chciała jeść, jadła tylko z brygadzystą. Przepracowaliśmy tak całą zimę – do pracy w lesie i z powrotem, zawsze z dużym kłosem drzewa do ogrzewania baraku. Tak było do 1 maja 1949 roku.

Przyjechała komisja wojskowa do kontroli obozu. Obóz był specjalnie przygotowany do tych odwiedzin. W powietrzu czuło się inny powiew wiatru. Zebrano wszystkich ludzi z obozu na plac. Komisja pytała o warunki bytowe i odnoszenie się ochrony obozowej do ludzi, itd. Ze strony obozowiczów było dużo różnych pytań i żądań, na przykład, dlaczego jesteśmy poznaczeni numerami? Dlaczego na wyżkach – gniazdach ochrony – ustawiono broń maszyno-

wą? Dlaczego chodziliśmy i chodzimy do pracy pod opieką żołdatów uzbrojonych w broń maszynową? Itd., itd.

Po skończeniu obustronnych pytań i odpowiedzi, komisja wyciągnęła gazetę i czytała nam wyjątkowy artykuł: Stany Zjednoczone Ameryki Północnej oskarżają ZSRR o trzymanie w obozach i więzieniach 30 milionów więźniów politycznych różnych narodowości przywiezionych w czasie wojny. Ameryka żąda zwolnienia natychmiast wszystkich obcokrajowców – wojna już dawno się skończyła. ZSRR odpowiada: w Związku Radzieckim nie było, nie ma i nie będzie ani jednego więźnia. Mamy tylko ludzi pracujących w tak zwanych obozach „Trud-Armii”, którzy w swoim czasie zostaną zwolnieni do domów. Był to oszczerczy, kłamliwy wybieg ZSRR, gdyż ludzie, nawet już zwolnieni, byli wywożeni do obozów nad Jenisej w północnej Syberii, gdzie otrzymywali przepustkę wolnego poruszania się w danym obrębie.

Komisja odjechała do innych obozów z tą samą kłamliwą wiadomością, a u nas zaczął wiać jakiś niezrozumiały zły wiatr. W brygadzie drwali zaczął się okres nieszczęść i wypadków przy pracy. Przy układaniu oczyszczonego drzewa w sztable, kłoda ta przetoczyło się przez człowieka i zmiażdżyło go całkowicie. Mój współpracownik, Rumun, po zwałeniu ze mną drzewa wyprostowuje się dla złapania oddechu i w tym momencie spada mu na głowę ogromny sęk. Zabrano go do szpitala i już go więcej nie widziałem. Po kilku dniach, po zwałeniu drzewa przeze mnie i pomocnika tniemy je na części. W pobliżu nas stoi bojec, nasza ochrona. Krzyczy do nas, żebyśmy uciekali, drugie spiłowane drzewo trzymające się na innym, wali się na nas, nie zdążyliśmy nawet krzyknąć ani się ruszyć. Mieliśmy jeszcze wielkie szczęście, złamały mi się tylko cztery żebra, kolega wyszedł z tego cało. Po czterech tygodniach wróciłem znowu do brygady. W tym czy innym dniu, nie pamiętam, drwal z naszej brygady przepiłowuje sobie do połowy kolano piłą elektryczną. W kilka miesięcy z całej zaprzyjaźnionej brygady pozostało tylko czterech z trzydziestu jeden drwali. Reszta to nowi, nieznani, świeżo przywiezieni.

Po kilku dniach znowu zaczynam pracę, Dają mi pomocnika do walenia drzewa we dwójkę. Robota nie idzie, nie chce pracować w ogóle, jest Koreańczykiem, nie chce rozmawiać po rosyjsku. W jakiś tam sposób domówiliśmy się, że nie jestem Rosjaninem a tylko żołnierzem Polakiem. Przeniósł natychmiast swoje łóżko i ustawił obok mnie. Przyprowadzał do naszego baraku dwóch Japończyków z innej brygady; jeden z nich dobrze rozmawiał po rosyjsku. Japończycy przychodzili do nas, a ja z Koreańczykiem chodziłem do nich. Uczyliśmy się rozmawiać obopólnie, jeszcze przy pomocy rąk i palców, szło nam zupełnie dobrze.

Zachorował nasz brygadzysta. Dano nam młodego Ukraińca. Dostawał paczki z domu. Atmosfera w brygadzie zmieniła się. Zmienili też mojego pomocnika, został nim Polak, Białorusinin i Ukrainiec w jednej osobie, ale pracować z nim było dobrze. Dano nam piły elektryczne. Wzięliśmy piły i operator prądniczy miał nam pokazać pracę maszyny. Włączył aparat i – krzyk – ja ogromną siłą zostałem rzucony na ziemię, nie wiedziałem co się ze mną dzieje i z innymi pilszczykami. Po pewnym czasie dwóch z brygady wzięło mnie pod rękę i prowadzili przed brygadą do obozu. Leżałem trzy dni w połowym szpitalu. Wróciłem chyba do normalnego życia. Pracować tą piłą elektryczną, było dużo łatwiej aniżeli zwykłą piłą.

Nasza brygada tylko waliła las. Daleko za nami szła brygada Ukrainek. Oczyszczała drzewa z gałęzi i sęków oraz paliła to w ogniskach. Trzeba było zwalić około 10 m³ na dwóch. Liczy się drzewo zwalone, z obcięzonymi i spalonymi gałęziami i pocięte na odpowiednią długość. Kto przekroczył normę 10 m³ otrzymywał 80 dkg chleba, więcej zupy i kartoflaną zapiekankę albo po 20-50 gramów kaszy owsianej!

Ja byłem odpowiedzialny za piłę i pomocnika. Pomimo wszelakich przykazań bhp przez naczelnika obozu, złe fatum ciągnęło się za naszą brygadą. Z pozostałej naszej zaprzyjaźnionej czwórki ze starej brygady pozostałem sam – na krótko. Otrzymałem zadanie ścięcia czterech wielkich i grubych drzew, w tym jedną sosnę, bardzo rozłożystą. Trzy sztuki leżą na ziemię bardzo ładnie, jak z płatką. Usiedliśmy z pomocnikiem w pobliżu tej staruchy i patrząc na nią mówię do niego, że nie chce mi się ogromnie iść do cięcia, ale trudno – przykład. Przykładamy się do cięcia i więcej nic nie pamiętam, świat dla mnie zaginął.

Pierwszy przebłysk czucia i bólu miałem, gdy mnie dwóch ludzi wynosiło z wagonu i gdy nieśli na noszach po torze kolejowym. Drugi ogromny ból poczułem na stole operacyjnym, gdy wiercono i wylamywano kości w głowie. Cały czas czułem straszny ból, momentami nie do wytrzymania. Czułem całą operację i każde uklucie igły, gdy zszywano ranę. Darłem się w niebogłosey przeklinając pielęgniarkę i lekarza najwybredniejszymi epitetami rosyjskimi; ręce, nogi i głowę miałem przywiązane pasami do stołu. Operował lekarz chirurg narodowości rumuńskiej – artykuł 58, wyrok 25 lat – i pielęgniarka Ukrainka – artykuł 58, wyrok 10 lat. To cała obsługa lekarska w obozie nr 2.

Z początku wiedziałem tylko, że mogę jęczeć i krzyczeć z bólu; wtedy przychodzili pielęgniarka i lekarz. Po kilku dniach bóle prawie ustały, ale jest mi całkowicie źle. Jestem sparaliżowany, prawa strona od góry do dołu całkowicie sparaliżowana, lewa częściowo niewładna. Nie wiem, co się ze mną stało, prawie nic nie słyszę i nie mówię. Bełkoczę tylko niektóre słowa, ale nikt nie rozumie. Dwóch młodych chłopców, Polaków z Lidy – Stanisław Głowacz i Władek Sieńko – opiekowało się mną, karmiło przez pół roku. Wraz z lekarzem i pielęgniarką nauczyli mnie mówić, czytać, pisać i trochę pracować. Paraliż ustępował. Już rękami mogłem jeść, ale rana na głowie goiła się jeszcze długo. Po dwóch czy trzech miesiącach przywieziono chorego z tego obozu, gdzie ja uległem wypadkowi. Opowiedział mi cały przebieg mojego wypadku, a było tak: sąsiedni drwale spiłowali duże drzewo, które padając złamało mniejsze i właśnie to mnie dosięgło. Pomocnikowi nie ruszyło włosa na głowie.

Od tej pory zaczęła mi wracać powoli pamięć, mowa i słaby słuch w jednym uchu. Około pół roku lekarz i pielęgniarka męczyli się i zrobili ze mnie jeszcze człowieka. Niezupełnie wartościowego, bo na prawe ucho do dziś nie słyszę, i z pamięcią i z głową nie było nigdy dobrze i nadal nie jest. Po zwolnieniu ze szpitala posłano mnie do drugiego budynku (gdzie też leżeli chorzy) za pomocnika gospodarczego. Kierownikiem był Polak, nazwiskiem Zieliński (imienia nie pamiętam). Miał bezwładną całą prawą rękę od ramienia. Aresztowany i wywieziony za to, że był policjantem w Polsce, wyrok 15 lat. Ciągłe upominał i tłumaczył mi, że bym się nie śmiał, gdyż twarz moja zawsze jest pokręcona jak u prawdziwego wariata, pomimo że w obozie nie wiedziałem, co to jest śmiech. Nawet zrobił mi specjalną maskę po to, żeby w rozmowie nie wy-

kręcała się twarz. Dużo rozmawiał i ciągnął mnie za język po to, żebym przypomniał sobie ludzką mowę. Było mi z nim dobrze, porównując obozowe życie, będąc kaleką. W baraku inwalidów widziałem tylu, ludzi tak pokręconych, pokaleczonych, bez nóg, bez rąk, że opisać nie umiem. Tu spotkałem też Japończyka, był po operacji jelit, niewielka część mu została. Otrzymywał inne jedzenie, takie, żeby nie wytwarzało gazów. Był aresztowany za szpiegostwo, miał około 50 lat. Mówił dobrze po rosyjsku. Był cały wytatuowany. Od szyi do pięt, na plecach miał wytatuowanego węża, mówił, że to za ostatnią wpadkę. Twierdził, że jeśli wróci do domu – był tego pewny – to wyzdrowieje i będzie miał całe jelita. Wierzył w to.

Ludzi wywiezionych z krajów na zachód od Moskwy, gdzie tylko noga bolszewicka przeszła w czasie wojny, było bardzo dużo. Najwięcej chyba Polaków i Ukraińców. Najgorsze stosunki Polaków były też z nimi. Z innymi, jak Litwini, Łotysze, Estończycy, Rumuni, Czesi, to można było żyć a nawet zaprzyjaźnić się. W ogóle Polacy byli najgorzej traktowani przez władze obozowe. Nie mieli prawa otrzymywać paczek i najważniejsze – nie mieli już nigdy wrócić do domu, do Polski, choć mieli wyroki terminowe. Ulżyło trochę w roku 1948-49, gdy z Zachodu docierały pocieszające wiadomości, a zrobiło się dużo lepiej, gdy umarł Stalin.

W roku 1950 wywieziono mnie z Syberii do Kazachstanu. Obwód Karaganda. W niedalekiej od siebie odległości były dwa obozy – nr 4 i nr 5. zbudowane w ziemi. Tu spotkałem bardzo dużo Polaków z całej Polski, z różnych organizacji i z różnych powodów przywiezionych na katorgę tylko dlatego, że mówili po polsku i byli prawdziwymi żołnierzami i patriotami swojej ojczyzny Polski. Wrogowie tak z jednej strony, jak i z drugiej nie mogli przeżyć tego, że Polska jest wolna a ludzie nie są niewolnikami. Wpajano w swoich państwach swoim narodom nienawiść, zazdrość i zdradę przeciw Polsce. A wodzowie (pomimo, że politycznie byli śmiertelnymi wrogami) podali sobie łapy, wyciągnięte jak szpony, żeby tymi krogulcami wymordować w najokrutniejszy sposób Polaków. Naród sprawiedliwy, mężny, pracowity, spokojny, nie chciwy, nie czyhający na cudze bogactwa. Nie udało się naszym katom wykreślić Polski z mapy, pomimo, że jeszcze do tej pory stalinowskie hordy niszczą najlepszych synów Ojczyzny. Rosnie już nowe pokolenie Polaków, u których odezwała się już polska krew i chęć prawdziwej wolności i sprawiedliwości.

W kazachstańskich obozach kilka tygodni nas ganiano do pracy, ale nieco lepsze było jedzenie. Polacy zbierali się małymi grupkami i starali się poznać i zaprzyjaźnić. Wszyscy byli swojakami, lgnęli jeden do drugiego. Śpiewano dużo piosenek. W niedziele i święta zbierano się w większe grupy i śpiewano pobożne piosenki. Byli z nami też księża, Polacy i Litwini. Z Litwy dostawali paczki, w których były nieraz opłatki świąteczne i do komunii. Porobiono brygady pracy, pomieszano znowu różne narodowości w jednej brygadzie i pognano do pracy. Przeważnie do budujących się kopalni węgla kamiennego i ogromnych fabryk do przerobu tego węgla. Pokłady węgla były już na czterdziestu metrach głębokości. Ja, mechanik i spawacz, przydzielony zostałem do brygady mechanicznej pracującej przy budowie ogromnej fabryki przerobu węgla kamiennego. W brygadzie była większa ilość Ukraińców. Do Polaków byli nieprzychylni. Zacząłem pracować w charakterze spawacza. Otrzymywałem lepsze

odżywienie, do tego codziennie naparstek oleju. Nie podobało się to Ukraińcom, wygryźli mnie z tej pracy, musiałem z niej podejść, bałem się ich. Skierowano mnie do pracy przy przeprowadzaniu wodnych instalacji. Ciężka to była praca, najgorzej w zimie przy kopaniu kanałów. Zachorowałem na płuca. W obozie tym pracowali lekarze z wolnej ręki. Wożono mnie na prześwietlenie płuc do Karagandy. Po miesiącu byłem zdrow.

Przeniesiono mnie do polskiej brygady pracującej w kopalni węgla. Najpierw byłem murarzem, następnie elektrykiem na dole oraz operatorem pomp wodnych i ostatnia praca to operator sprężarek w maszynowni na górze. W brygadzie żyliśmy jak bracia. Uważani byliśmy za najlepszą brygadę w kopalni i wyróżniani w kuchni. Pomagaliśmy nawet polskim brygadam, które pracowały w gorszych warunkach i za słabe odżywianie. W naszej brygadzie pracowaliśmy na trzy zmiany po 8 godzin. Obsługiwaliśmy całą mechanizację kopalni. Dużo było w kopalni wypadków. W naszej brygadzie nie. Majster nasz był z wolnej stopy, dobry fachowiec i solidny człowiek, brygadzysta – Polak rodem z Wołkowyska, nazwiska nie pamiętam, sądzony jak wszyscy, wyrok z artykułu 58 i 10 lat przymusowej pracy. Cała budowa kopalni była w rękach polskich specjalistów (mechanik, spawacz, elektryk, operator itd.). Był też jeden Ukraińiec, solidny chłop, zmontował nam radio, mieliśmy wiadomości, ale po paru miesiącach zabrano je nam a elektryk posiedział w karcerze.

W końcu 1953 roku we wrześniu czy październiku była ostatnia moja praca w ZSRR. Zawołano mnie do komendanta obozu. Otrzymuję wiadomość, że pojedę do Polski. Mam zdać stare ubranie i pobrać nowe. Mam czekać na samochód w jego gabinecie. Nie wchodzić do baraków. Pozwolił tylko wziąć z baraku kuferek wojskowy. Przy tym miałem okazję pożegnać się ze swoimi ludźmi z brygady, którzy byli w tym czasie w baraku. Z całego obozu wzięto tylko cztery osoby. Z Polaków tylko ja jeden. Po drodze zbierano z innych obozów. Nim nabierano cały ciężarowy samochód to przeszedł tydzień. Zawieziono nas do zbiorczego obozu (miejsowości nie pamiętam, było to około 400 km na północ od Moskwy). W nim już było dużo ludzi różnych narodowości ale tylko z zachodu Europy. Wszyscy rozmieszczeni w innych barakach i oddzielni drutem kolczastym. Przejścia były, ale tylko małą bramką. Tak samo kobiety, tylko że do nich były zamknięte bramki na zamek. Siedzieliśmy w tym obozie około trzech miesięcy. Ciągłe dowożono zwolnionych z różnych stron ZSRR. Naprzykrzyło się wszystkim beczynnie siedzieć i czekać na niewiadome jutro. Różne dochodziły wiadomości i niepewności, były nawet takie, że Polska nie chce nas przyjąć. W okresie pobytu w tym obozie dwa razy wybuchały wojny pomiędzy Czechosłowakami i Polakami. Wyglądało to bardzo groźnie. Wartownicy strzegący obozu zaczęli strzelać z broni maszynowej, tylko że nie do ludzi a dla rozpędzenia walczących. Zawsze na drugi dzień po takiej wojnie przychodziła delegacja z jednej i drugiej strony podpisywać rozejm.

Z początkiem stycznia 1954 roku oznajmiono wszystkim, że odjeżdżamy do domu. Kazano zostawić albo wymienić wszystkie wartościowe rzeczy i ruble gdyż na granicy wszystko zostanie zabrane przez straż graniczną. Podstawiono za kilka dni wagony towarowe przygotowane do przewozu ludzi, nawet deski do spania były wysłane słomą. Nie było na zewnątrz wagonów wartowników z bronią. Dano tylko jednego żołnierza w stopniu oficerskim do środka wagonu

do utrzymania porządku i obsługi ludzi. Załadowano wszystkich z obozu i nie zamykano od zewnątrz wagonów.

Przyjechaliśmy do granicy polsko-radzieckiej. Przyjęli nas żołnierze polscy. Po sprawdzeniu dokumentów pojedynczo, pieszo przekroczyliśmy granicę, gdzie czekały na nas autobusy. Dano nam na drogę po paczce prowiantu i ruszyliśmy już po polskich drogach. Za nami jechał jednak autobus wojskowy z uzbrojonymi żołnierzami. Przywieziono nas do więzienia w Tomaszowie Lubelskim. Tam po sprawdzaniu dokumentów i tożsamości otrzymałem Świadcstwo Zwolnienia Więźnia i z tym dokumentem w końcu stycznia 1954 roku wróciłem do domu.

